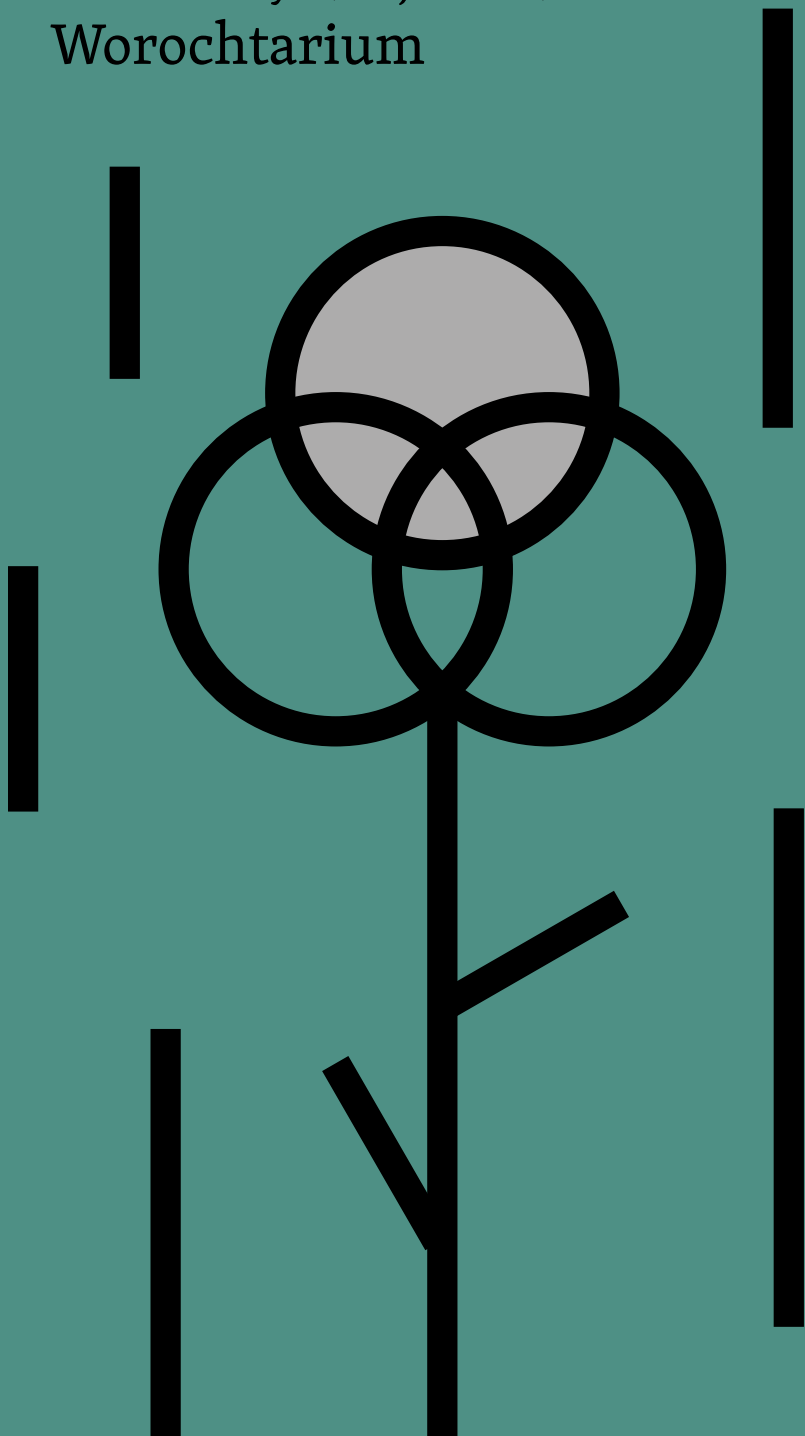


Andruchowycz, Bojczenko, Drul
Worochtarium



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na
www.legalnakultura.pl

Wschodni Express
Seria wydawnicza

Drul – Andruchowycz – Bojczenko

Worochtarium

Trójgłos literacki z dialogiem i monologami

Przełożył Andrij Saweneć

Warsztaty Kultury

Lublin 2019

Kilkaset słów o tym, jak powstała ta książka

Pomysł, że dobrze byłoby moje rozmowy zarówno z Jurkiem Andruchowyczem, jak i z Saszką Bojczenką spisywać i publikować – bo jeśli są tak ciekawe dla mnie, na pewno będą też ciekawe dla wielu innych – przychodził mi do głowy praktycznie za każdym razem, gdy ich spotykałem.

Co prawda, do następnego, z reguły nieoczekiwanego spotkania pomysł ten ulatniał się, aby przyjść ponownie, gdy temat rozmowy schodził na interesujące kwestie. Czyli prawie zawsze.

Jestem pewien, że kiedyś w końcu i tak doszłoby do realizacji tej świetnej idei, ale tutaj w tym wstępie musi pojawić się Dmytro Stretowycz.

A było to tak. Pisze do mnie pewnego razu wspomniany wyżej Saszko i w postscriptum do swojego maila pyta, jakie mam plany na sierpień. Opowiedziałem mu o swoich planach. Dalej cisza i oto już Jurko, również wspomniany wyżej, pyta się, czy nie chciałbym w sierpniu wyrwać się na kilka dni do Worochty. Po kilku tygodniach dzwoni do mnie Dmytro Stretowycz z propozycją nie do odrzucenia: porozmawiać przez trzy dni w Worochcie z Andruchowyczem i Bojczenką, spisać nasze rozmowy i wydać książkę.

Przy okazji wyjaśniło się, dlaczego w sierpniu, dlaczego w Worochcie i dlaczego ja: Dmytro organizuje pod Worochtą kurs literacki, w którego ramach Saszko i Jurko mają poprowadzić warsztaty, będą tam przez trzy dni, i może tego by wystarczyło, ale mówią, że znają się jak łyse konie i nie potrafią siebie zapytać o coś ważniejszego – no bo ile już można zadawać sobie nawzajem pytania, na które z góry zna się odpowiedzi. Obaj zgodzili się, że to mnie właśnie potrzebują. Tak oto powstało to worochtarium, trójgłos z dialogiem i monologami. O tym, jak trójgłos zmienił się w dialog (gdyż z takimi rozmówcami z góry wiadomo, że będzie

sprowadzał się do monologów), czytelnik dowie się, jeżeli zechce przeczytać tę książkę. Co się tyczy *worochtarium*, tytuł ten zasugerował Jurko; „zasugerował” jest tu chyba nie do końca adekwatnym określeniem, gdyż po prostu poinformował nas po zredagowaniu wszystkich tekstów, że książka będzie nazywała się *Worochtarium*. „A cóż to takiego?” – moje i Saszka pytanie wydawało się całkiem naturalne, mimo że obaj poczuliśmy: to jest właśnie to, co chcieliśmy powiedzieć. Dobrzy poeci, jak wiadomo, mają intuicyjne wyczucie języka, a że Jurij Andruchowycz jest znacznie więcej niż dobrym poetą, to pozostało nam tylko wyjaśnić, co to znaczy.

Pierwotnie *-arium* oznaczało miejsce gromadzenia czegoś, w tym jakiś zbiór, z upływem czasu ten drugi odcień znaczenia oderwał się od lokalizacji i zaczął żyć własnym życiem semantycznym. *Worochtanie* zaś, czyli gadanie, mamrotanie z odcieniem znaczeniowym gromadzenia, zbierania, należało, jak piszą stare księgi, do typowych praktyk molfarów. Mówiąc inaczej, było to gromadzenie magicznych, „niezwykłych” wyrazów i z tego właśnie powodu tak nazywano legendarnego dezertera molfara, eponima *Worochty*. Gdy wyłożyliśmy to wszystko Jurkowi, usłyszeliśmy zdziwione: „A nie mówiłem?”.

Nie będę dłużej zabierać czytelnikom bezcennego czasu, więc przejdźmy do naszego *worochtarium*.

Orest Drul

Dzień pierwszy

(10 sierpnia 2017)

- Zaczniemy *ab ovo*. Jak i kiedy, Jurku, poczułeś chęć pisania?

A: - O ile ten moment w ogóle da się utrwalić w pamięci. Przypominam sobie na przykład, że gdy nie potrafiłem jeszcze stawiać pisanych liter, czyli nie chodziłem do szkoły, już odtwarzałem ręcznie jakieś drukowane teksty widziane w książkach. Ot, mniej więcej w takim wieku, chyba pięcioletnim lub gdzieś około tego. Przypominam sobie te zeszyty w kratkę i to, jak coś tam wypełniałem drukowanymi literami. Niewątpliwie stała za tym potrzeba naśladowania. Oczywiście od czasu do czasu znajdowało to kontynuację także w szkole, jako chęć pisania czegoś swojego. Pod wpływem tego, co przeczytałem lub obejrzanego filmu, bądź też jakiejś opowieści zasłyszanej od dorosłych. Tata i babcia byli bowiem bardzo pod tym względem kreatywni, tacy typowi opowiadacze historii. Chęć ta od razu zderzyła się jednak z pewną moją wadą fizyczną. Chyba można powiedzieć, że jest to wada fizyczna: bardzo szybko męczę się, pisząc ręcznie. Nie lubię pisać. Jakkolwiek śmiesznie to brzmi.

- Wynalezienie komputera z klawiaturą okazało się bardzo na czasie...

A: - No tak, absolutnie, na bank. Ale najpierw była maszyna do pisania. Bez niej nigdy bym nie zaczął pisać prozy. Byłbym wiecznym poetą. Napisanie odręcznie więcej niż strony tekstu to dla mnie katusze nie do wytrzymania. Dlatego też, kiedy w dzieciństwie zabierałem się do zapisywania w jakimś grubym zeszycie swojej „nowej powieści”, ręka bardzo szybko męczyła się i traciłem zainteresowanie

rozpoczętym tekstem. Porzucałem go na drugiej, trzeciej stronie. Strasznie mnie to wszystko nudziło, chociaż wydawało się, że nawet ciekawą historię wymyśliłem. Dlaczego by nie opowiedzieć jej w całości, od początku do końca? Ale zapisywanie – to był horror. Znalazłem wtedy takie ujęcie dla swojej wyobraźni, że w kręgu przyjaciół z klasy zostałem takim sobie wiecznym opowiadaczem. Na przerwach, zwłaszcza na długiej przerwie, gromadzili się wokół mnie chłopaki z mojej klasy, otaczali takim oto kołem i ja, jak to się mówi, improwizowałem, relacjonując im treść jakichś niby filmów. Sam tych filmów nigdy nie oglądałem. Kto wie, czy w ogóle istniały. Chłopaki mi jednak wierzyli. Widocznie byłem dość przekonujący... Jak na ich wymagania, rzecz jasna. Albo też przynajmniej w jakiś sposób porywałem ich tymi opowieściami, zwracałem im w głowie...

- Teraz by powiedziano, że szerzyłeś „fejki”?

A: – No, tak. To znaczy, nie całkiem, bo „fejk” to w tym kontekście niewłaściwy wyraz. Weźmy na przykład bajkę – czyż jest fejkem? Sam jednak podniecałem się, dawałem ponieść. Na początku, wydaje się, nie miałem dokładnego planu, co właściwie będę im opowiadał. Z czasem to jednak się zmieniało, chyba nabierałem wprawę. Bardzo często zatem w trakcie lekcji poprzedzającej długą przerwę coś sobie obmyślałem – jakieś wątki, zwroty akcji, szczegóły. W tym właśnie siebie odnalazłem – była to moja szczególna zdolność, której nie posiadali inni, a która przynosiła mi prawdziwe zadowolenie. Wymyślanie i opowiadanie historii. Najważniejsze zaś, że przy tym wszystkim udawało się unikać tego...

- Banału?

A: – ...unikać tego problemu z pisaniem odręcznym!

- A jaka to była klasa?

A: – No, powiedzmy, faktycznie trwało to bodajże do starszych klas, co najmniej do siódmej...

- A zaczęło się?

A: – Zaczęło się? W pierwszej? Chyba w pierwszej, no tak. I trwało, dopóki nie dojrzały jakieś krytyczne mechanizmy recepcji moich słuchaczy. Do tego stopnia, że już nie dałoby się im tak łatwo tych „fejków” wciskać. Czas bajek minął.

B: – Rozmowa to dobra sprawa: ty mówisz, a ja zaczynam wspominać coś, o czym bym nie wspomniał, gdyby mnie samego tak po prostu zapytano. Akurat na pytanie, kiedy zechciałem pisać, mogę stanowczo odpowiedzieć: nigdy nie chciałem, a i teraz nie chcę. Przy czym problemów z pisanie odręcznym nigdy nie miałem. Słuchajcie, przecież cały doktorat napisałem odręcznie. A zanim go napisałem, tak samo odręcznie powypisywałem jakieś 500 stron różnych potencjalnie przydatnych cytatów. To była przecież pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych. Komputera nie ma, internetu nie ma, zdigitalizowanych zbiorów nie ma, przesiaduj sobie w bibliotekach i wypisuj wszystko, co może się przydać. Nic dziwnego, że teraz nie lubię pisać. To znaczy, lubię oglądać swoje teksty w „Zbruču”^{*} albo w tygodniku „Krajina”, a jeszcze bardziej lubię dostawać za nie honoraria. Ale pisać – nie, nie lubię. Choć rozumiem, że filologia była wyznaczona mi przez los od urodzenia i daremnie przez cały okres szkolny przed nią uciekałem ile sił w nogach.

A: – O, a czy mogę od razu zapytać? W jaki mianowicie sposób uciekałeś przed filologią w latach szkolnych? Opuściłeś lekcje literatury czy nie dawałeś z siebie wszystkiego?

B.: – Nie, z lekcji nie uciekałem, oceny miałem celujące, nigdy nie myślałem jednak, że pójdę na studia filologiczne.

– A o czym myślałeś?

B: – Zaraz, zaraz. Skoro już zaczęliśmy o wadach, mam taką, że muszę od czasu do czasu od czegoś się uzależnić. W szkole moim głównym uzależnieniem była piłka. Dnie

* Ukraińska gazeta internetowa, której redaktorem naczelnym jest Orest Drul, funkcjonująca pod adresem zbruc.eu.

i noce spędzałem na boisku, czytałem zaś tylko po to, aby otrzymać ocenę. No, i wśród tych lektur nie było nic szczególnie do czytania. Mamy ten problem do dziś: lekcje literatury ukraińskiej są dla dzieciaków nudne. I nie jest to wina ani samych uczniów, ani literatury, tylko właśnie podstawy programowej, która nie uwzględnia psychologii wiekowej. Dzieło literackie jako takie może być wręcz genialne, ale jeśli nie opowiada o tym, co martwi na przykład nastolatek, ten nastolatek pozostanie na nie obojętny. Ot, rośnie sobie taki chłopak, przechodzi dojrzewanie, marzy o różnych przygodach, wyczynach i miłosnych podbojach. A jemu się proponuje pochylić nad losem „zawitki”, uderzać w skały pierś i nie zapominać o strasznych ranach narodowych*. W jakim wieku? Mając 14–16 lat? Jak bardzo trzeba być zбочnym, aby w tym wieku, zamiast o piersiach koleżanki z klasy, myśleć o ranach narodowych? Nie wiem, pierwszą książką, którą polubiłem w szkole, był *Bohater naszych czasów* Lermontowa. Miała w sobie wszystko, co mnie interesowało: cyniczny romantyk, który niczego się nie boi, wdaje się w pojedynki, zawraca kobietom w głowach i dowcipnie szydzi z otoczenia. Powodzenie wśród kobiet i męskie samoutwierdzenie – oto czym można przyciągnąć uwagę nastolatka. Później, gdy już w dorosłym wieku czyta się literaturę ukraińską, odnajduje się ciekawe rzeczy zarówno u Neczuja-Lewickiego, jak i Panasza Myrnego oraz...

A: - ...Marko Wowczok.

B: - A dokładniej jej męża, który ponoć napisał zamiast tej „pierwszej lepszej kacapki” utwory w języku ukraińskim. Tak czy owak, niełatwo zainteresować tym młodzież szkolną. Do czego jednak prowadzę? Moja mama jest ukraińską i przez całe życie pracowała jako nauczycielka języka

* Aluzja do poematu Tarasa Szewczenki *Kateryna*, wiersza Iwana Franki *Kamieniarze* (w tłumaczeniu Sydira Twerdochliba) oraz poematu Łesi Ukrainki *Stara bajka* – tu i dalej przyp. tłum.

i literatury ukraińskiej w szkole. W ciążę z kolei zaszła na piątym roku studiów, nosiła mnie i równolegle zaliczała sesję, pisała pracę dyplomową. Można powiedzieć, że we dwójkę pisaliśmy tę pracę i we dwójkę otrzymaliśmy dyplom.

- Czyli ukrainistykę masz w genach: jeszcze nie zdążyłeś się urodzić, a już wszystko było przesądzone...

B: - Z tym że do końca klasy maturalnej nie wiedziałem o tym. Natomiast gdy już miałem iść na studia, wybrałem filologię z bardzo prostego powodu: przewertowałem programy i zobaczyłem, że to jest jedyny kierunek, na jaki można zdać bez przygotowania. Bo z fizyki brakowało mi jakiegoś 70 procent wiedzy, z chemii 60 procent, z matematyki 50, a z filologii braków nie miałem.

A: - Liczba kandydatów chyba też była mniejsza niż na jakąś fizykę czy chemię?

B: - Być może, dokładnie nie pamiętam. Myśmy mieli ponad cztery osoby na jedno miejsce.

- Wybrałeś ukrainistykę?

B: - Po nauczeniu się na pamięć całego Lermontowa? Skądże, była to filologia rosyjska. Z jedną szczęśliwą dla mnie anomalią. Rusycystykę na Uniwersytecie Czerniowieckim tworzyły trzy katedry: Katedra Języka Rosyjskiego, Katedra Literatury Rosyjskiej oraz - taki oto paradoks - Katedra Teorii Literatury i Literatury Powszechnej. Studentów przydzielano do grup zajęciowych, nie pytając o zdanie. Mnie zapisano do grupy językowej. Przez pierwsze dwa lata nie miało to żadnego znaczenia. Na trzecim roku zaczynała się jednak specjalizacja, to znaczy, że dla każdej grupy prowadzono inne wykłady monograficzne, organizowano działalność naukowo-badawczą studentów, były inne tematy prac rocznych, a następnie dyplomowych. Wtedy też wywalczyłem dla siebie przeniesienie na specjalizację z teorii literatury i literatury powszechnej. W tamtej katedrze pracowali najlepsi moim zdaniem wykładowcy, niektórych Jurko zna: profesor

Wołkow, Petro Rychło, Borys Iwaniuk, Ihor Zwarycz... Były to lata przed upadkiem Sowietów, kiedy na ukrainistyce rewolucyjni demokraci Szewczenko i Franko wciąż przyspieszali nadejście Wielkiego Października. Tymczasem myśmy zgłębiali Joyce'a, Kafkę, Camusa, stosowaliśmy metody formalizmu, strukturalizmu, poststrukturalizmu, dyskutowaliśmy na zajęciach – jednym słowem, prowadziliśmy normalne życie akademickie.

- Czyli na rusycystyce wykładano wam teorię literatury na podstawie nierosyjskich wzorców?

B: – Różnych. Z tym że z administracyjnego punktu widzenia był taki paradoks: Katedra Teorii Literatury i Literatury Powszechnej należała do Oddziału Filologii Rosyjskiej. Co już mówić o teorii, gdy cała literatura powszechna okazywała się jakby częścią rosyjskiej, a nie na odwrót.

A: – Ja tylko pamiętam, że w programie szkolnym – nie trzeba tu iść aż na uniwersytet – mieliśmy jakieś podstawy literatury powszechnej, zaczynając na przykład od Homera. Mimo że szkoła była ukraińska, czyli z ukraińskim językiem nauczania, tamte lekcje literatury powszechnej odbywały się w ramach kursu literatury rosyjskiej. No i prowadziła je akurat nasza pani od rosyjskiego, przybliżała nam zarówno Homera, jak i, powiedzmy, Shakespeare'a. O ile w ogóle mieliśmy w lekturach chociaż trochę Shakespeare'a, bo dokładnie nie pamiętam. Byrona jednak przerabialiśmy na pewno.

B: – Jamby i trocheje chyba też mieliście?

A: – Teoria literatury? Dokładnie mówiąc, systemy wersyfikacyjne? Nie, tego już nie pamiętam tak wyraźnie, czy w ogóle mieliśmy to w szkole. Chyba musiało być coś takiego, jakieś podstawy. Gdyby jednak ktoś zechciał się dowiedzieć, dlaczego niby czytamy Homera i Shakespeare'a po rosyjsku, padłaby taka odpowiedź, że przecież nie istnieją przekłady ukraińskie. Choć te przekłady istniały. Tylko urzędnicy

w Ministerstwie Edukacji mocno ich się bali, gdyż połowa z tłumaczy była zakazana jako dysydenci i pół-dysydenci.

- No nie, sądzę, że chodziło o tłumaczy: linia partii prowadziła w takim kierunku, że wszystkie niuansy literatury światowej można oddać tylko w języku rosyjskim...

A: - No tak, poza tym można jeszcze zastosować teorię spiskową. Że decyzje o tym wszystkim zostały podjęte gdzieś na samej górze. I że były właśnie takie: wszystko, co rosyjskie, co jest w języku rosyjskim, kojarzyć ze wszystkim, co atrakcyjne, ciekawe, światowe. Wszystko, co ukraińskie zaś - z nudnym, zaściankowym. A było przecież nieco inaczej.

- Spiszek czy nie, ale wytyczne były jasne i precyzyjne: sprowadzać literaturę ukraińską do zaściankowego, małomiasteczkowego poziomu, a ściślej mówiąc, do poziomu rustykalnego, folklorystycznego.

A: - Ale te wytyczne to tylko część tamtego spisku.

B: - Choć *post factum* okazało się, że nie jest tak źle. Bo niechęć wbijano nam do głowy, że literatura rosyjska to jednak obca, a nie rodzima.

A: - Dokładnie. *Bliźniejże zarubieżje**.

B: - No, to co, może wrócimy do początków... Czy pamiętasz, Jurku, jak napisałeś na przykład swój pierwszy wiersz?

- Ale najpierw egzystencjalne dla mnie pytanie: czy łatwo szły wam wypracowania w szkole, to znaczy czy już wtedy przejawiały się skłonności do literatury? Bo w moim przypadku, jak spoglądam wstecz, przez dłuższy czas po maturze nachodził mnie okropny sen: niby wieczorem przypominam sobie, że na jutro trzeba przynieść do szkoły wypracowanie, i siedzę przed pustą

* Bliska zagranica (ros.). Termin z nomenklatury propagandy sowieckiej, którym określano byłe republiki radzieckie. W tym sensie np. Kazachstan miał stanowić dla Ukrainy „bliską zagranicę”, a Polska - „daleką zagranicę”.

kartką z równie pustą głową. Dopiero po doświadczeniach w gazecie „Postup”, kiedy artykuł trzeba było napisać w ciągu godziny, dwóch, koszmary zniknęły.

A: – Wypracowania z lektur?

– No tak, z lektur. Czy też, dajmy na to, na wolny temat.

A: – Na wolny temat prawie nie było. Jeżeli chodzi o te z lektur, z reguły nauczycielki – zarówno ta od ukraińskiego, jak i ta od rosyjskiego – zachwalały je i odczytywały na głos na forum klasy, aby wszyscy wiedzieli, jak naprawdę można pisać wypracowania szkolne. To dlatego, że pozwalałem sobie na maksymalnie twórcze do tego podejście. I rzeczywiście wyrażałem własną opinię co do tego lub innego epizodu, tej lub innej postaci, i jakoś mi się to udawało, chyba przekonująco. Później rozwijało się to w ten sposób, że zaczęto wysyłać mnie na różne miejskie, międzymiastowe, obwodowe i tym podobne olimpiady. Chyba też wszędzie wygrywałem. Czy to źle, że tak nieskromnie o tym wspominam?

B: – Wcześniej czy później prawda wylazłaby jednak z worka.

– Czyli już wtedy byłeś najlepszy ze wszystkich?

A: – No, chyba tylko na tym tle aż tak dobrze wyglądałem. Być może całe tło było tak przygnębiające, że byłem bohaterem. Tak czy owak, kiedy mieliśmy bal maturalny, byłem już zwycięzcą wszystkich możliwych olimpiad, chyba z wyjątkiem republikańskiej – tam z jakiegoś powodu mnie wysłano. Tymczasem do nas na bal przyszedł – specjalnie, żeby ze mną porozmawiać – ojciec jednego z naszych maturzystów, chłopaka z równoległej klasy. Zajmował się pracą ideologiczną, był instruktorem komitetu obwodowego partii do jakichś tam spraw prasowych. No, i był też jednym z członków jury, które przyznało mi zwycięstwo w olimpiadzie i niejednokrotnie wyrażał swój zachwyt, a tu zjawił się, aby poznać mnie osobiście i odradzać mi pójście na studia na Instytut Poligraficzny. Wiedział już bowiem o moim